

Julia Hartwig

Zawsze powroty

Dzienniki podróży



Sic!

Słowo od autorki

W roku 1986 wyjechałam wraz z moim mężem, Arturem Międzyrzeckim, na kilka miesięcy zagranicę. Następnego już dnia po przylocie do Paryża zaczęłam prowadzić rodzaj dziennika podróży, a raczej dziennika pobytu, bo i we Francji i w Stanach dane nam było pozostać czas jakiś. W dzienniku notowałam miejsca, w których mieszkaliśmy, nazwiska lub inicjały osób, które spotykaliśmy, i zajęcia, jakim poświęcaliśmy nasz czas.

Od lat mieliśmy w Paryżu wiernych przyjaciół, Polaków i Francuzów, często związanych, podobnie jak my, a zwłaszcza Artur, z działalnością PEN Club-ową. Otwarty i pełen czynnej życzliwości stosunek Artura do ludzi, jego urok osobisty, wiedza, autorytet, żywotność umysłu i poczucie humoru sprawiały, że ci, z którymi się zetknął, lubili z nim przebywać, nie było więc niemal dnia, który upłynąłby bez spotkania z przyjaciółmi, co znalazło wyraz w tych zapiskach. Niektórzy z tych bliskich już odeszli i wzmianki o nich są dla mnie ostatnim śladem odbytych rozmów i wspólnie spędzonego czasu. Nie ma już Zbigniewa Herberta ani Pierre Emmanuel, nie ma André Frénauda ani René Taverniera, nie ma Kota Jeleńskiego, Janka Lebensteina i Ireny Krzywickiej, odszedł ksiądz Zenon Modzelewski i Kazimierz Brandys. Ale czytelnik tych zapisków znajdzie również wiele innych nazwisk, których brzmienie wzbudza we mnie falę ciepła. Myślę o Grażynie i Krzysztofie Pomianach, o Teresie Dzieduszyckiej i Katarzynie Herbertowej, o Marii Brandysowej, o Wojciechu Karpińskim, Barbarze Toruńczyk, Hannie i Piotrze Słonimskich, Oldze Scherer, Zofii i Kazimierzu Romanowiczach, o Hannie Patkowskiej i Annie Zaleskiej, o Jean-Yves Erhellu i jego żonie Joëlle, o Danucie Szumskiej, Solange Fasquelle i Aleksandrze i Nadii Blokhach, o Annette Laboray, wreszcie o naszym wiernym druhu, Emmanuelu Devaud. Na szczególną pamięć zasłużyły sobie nasze peregrynacje do Maisons-Laffitte, do Zofii Hertz i Jerzego Giedroycia.

Osobna wzmianka należy się instytucji „Centre du Dialogue” prowadzonej przez księży palotynów. Zdziwienie może budzić fakt, że tak często pojawiają się oni na kartach tego dziennika w okresie naszego pobytu we Francji. Tym, którzy nie pamiętają lub nie zetknęli się z działalnością Centrum Dialogu, wyjaśnić wypada, że był to najważniejszy chyba ośrodek polski w Europie, gdzie przed i podczas stanu wojennego spotykali się z publicznością, głównie polską, artyści i intelektualiści przybyli z kraju, korzystając z pełnej swobody wypowiedzi na temat sztuki, nauki, polityki i historii. Zapraszano tam ludzi reprezentujących różne rodziny duchowe, nie pytając nikogo o poglądy, jakie wyznaje, o stosunek do religii czy Kościoła. Bywali tam prelegenci tak różni, jak Turowicz, Michnik, Kazimierz Brandys, Mrozek, Miłosz, Kołakowski czy Kijowski. My sami z działalnością palotynów zetknęliśmy się jeszcze za życia księdza Sadzika, przyjaciela Miłosza i Herberta, przyjaźń łączyła nas też z jego następcą, księdzem Zenonem Modzelewskim. Ostatnio, w rocznicę śmierci Artura Międzyrzeckiego, wieczór poświęcony jego pamięci prowadził nowy superior, ksiądz Henryk Hoser, kontynuujący tradycję tego ośrodka.

Byłoby niewdzięcznością nie wspomnieć tu również o naszych przyjaciółach w Stanach, takich, jak Lenta i Jerzy Głowczewscy, Henryk Grynberg, Louis Simpson, Hualing Nieh i drogi nam zawsze Staszek Barańczak i jego żona Ania, a także nieżyjący już: Paul Engle, Felicja Krance i jej siostra Halina Rodzińska.

Nie było wśród tych zaprzyjaźnionych z nami ludzi nikogo - myślę tu również o cudzoziemcach - kto nie śledziłby z uwagą wydarzeń dziejących się wówczas w Polsce. Nazwiska działaczy walczących o demokrację, zatrzymanych w obozach internowania i więzieniach, znane były dobrze naszym przyjaciołom francuskim i amerykańskim, co sprawiało, że wszystko, co było nam bliskie, napotykało również u nich na pełne zrozumienie.

Następnym po Paryżu etapem naszej podróży był Nowy Jork, gdzie do dziś mieszka nasza córka Daniela i jej mąż Keith, Spędziliśmy też kilka tygodni w Iowa; tam w roku 1970, wciąż jeszcze z niezabliźnioną raną roku 68., uczestniczyliśmy w Międzynarodowym Programie dla Pisarzy, goszczącym przed nami i po nas

wielu autorów polskich, między innymi Juliana Strykowskiego, Jana Józefa Szczepańskiego, Zbigniewa Bieńkowskiego. Andrzeja Kijowskiego, Marka Nowakowskiego, Marka Skwarnickiego, Janusza Głowackiego. Powstało nawet trochę literatury dotyczącej tego tematu, bo książki o Iowa napisali Szczepański, Skwarnicki i Kijowski, a ostatnio Adrianna Szymańska. Również w moim *Dzienniku amerykańskim*¹ znalazło się miejsce dla iowańskiego Programu, któremu patronował nieodżałowany Paul Engle, okazujący szczególnie szerokie serce przybyszom z Polski.

Wydarzenia roku 1986, zawarte przeze mnie w tym dość systematycznie prowadzonym dzienniku, stanowią jakby zamkniętą enklawę wyszarpiętą z lat „stanu powojennego”. Do codziennego notowania powróciłam podczas następnych podróży. W ten sposób powstaje pewna ciągłość zapisów sprawiająca wrażenie, jak gdybyśmy bezustannie przebywali zagranicą. Złudzenie to wynika stąd, że wracając do kraju, przerywałam pisanie dziennika, by znów podjąć je za następnym wyjazdem. Siedząc w kraju, nie czułam takiej potrzeby, wyjazdy były przygoda i tę właśnie przygodę próbowałam utrwalić. Nie miały one zresztą nigdy charakteru turystycznego. Przybywaliśmy do miejsc wielokrotnie już przedtem odwiedzanych, a największą radością było za każdym razem poczucie luzu, brak przymusu, możliwość rozporządzania własnym czasem, w dużej mierze spożytkowanym mi prace w bibliotekach, pisanie i tłumaczenie. Nie muszę dodawać, że perspektywa przebywania w miejscach ciekawych i pięknych, z dostępem do wolnej prasy i dzieł sztuki, pośród ludzi przyjaznych i korzystających ze wszystkich swobód demokracji stanowiła ważną przyczynę tłumaczącą naszą chęć czasowej zmiany miejsca.

Opublikowane tu notatki nie były pisane z myślą o ich wydaniu. Wpadłam na tę myśl, próbując pisać wspomnienia zamówione przed półtora rokiem przez wydawnictwo „Sic!”. Wówczas wpadł mi w ręce zapomniany pakiet tych dzienników. Miały dla mnie walor bezpośredniości, pachniały świeżym przeżyciem ówczesnego bieżącego dnia. Odbijały się w nich wydarzenia publicz-

1 Zob.: Julia Hartwig, *Dziennik amerykański*, Warszawa 1980 (przyp. red.).

ne, głosy dochodzące z Polski, wizyty w muzeach i codzienne lektury. Zaproponowałam wydawnictwu zamianę wspomnień na dziennik. Po pewnym wahaniu dołączyłam do notatek z podróży zapisy z kraju, które wbrew dotychczasowemu zwyczajowi, widać z potrzeby chwili, zrobiłam w Warszawie, Sopocie, Nieborowie i Zakopanem od lutego do października 1988 roku. Myślę, że słusznie. Osadzają nas one na powrót w miejscu, które wyznaczyło trwałą bieg naszych losów, nadając właściwą proporcję opisywanej tu przygodzie podróżowania.

Julia Hartwig